

Śmieć

Autor: Jacek Józwiak

O wędkarskim śmieciu, o śmieciu niepozornym i pojedynczym. O mewie zasupłanej w żyłkę i o kielbiku uwięzionym w prezerwatywie. Uważajmy, co wyrzucamy do wody, nawet nie będąc nad wodą. Uważajmy! Bądźmy ludźmi!

O nie, to nie będzie kolejny tekst o wędkarskich śmieciach. Bo śmieci to temat niepoważny, niewielki. Bo co tam - wędkarski śmieć, to mały śmieć, w porównaniu choćby do emisji zanieczyszczeń z wielkiego miasta.

Bo co tam - to polietylenowe pudełko po robalach czy folia po zanęcie, skoro uprzątnąć stanowiska w żaden sposób się nie da przed wędkowaniem. Ten zakręt na rzece, na którym tak dobrze biorą wiosenne płocie zaraz po zejściu pierwszej wody wybrukowany będzie plastikowymi butelkami, które rzucają wszyscy, niekoniecznie wędkarze - i wszędzie.

Śmieć przyciąga śmiecia. Na nic się zdadzą apele i sprzątanie świata. Jest brudno, będzie brudno. Trudno. Tylko czy koniecznie trzeba do ogólnego syfu dołożyć swoją plastikową cząstkę?

Śmieszne wydarzenie... Takie do popękania ze śmiechu. Wisła młocińska, ta poniżej słynnego na świat cały bielańskiego kolektora ściekowego. Wylewa się tutaj przepotworną strugą zawartość klozetów z północno-zachodnich dzielnic Warszawy. Wylot wyprowadzony jest na pół rzeki - żeby lepiej spłynęło to wszystko po czym obywatele świata tak skrzętnie spuszczaają wodę.

Wisła to homogenizuje, rozdrabnia lepiej niż najlepsze wirniki, niż największa oczyszczalnia. Przyroda to przecież sama moc, natura w samoobronie dokonuje rzeczy - zdać by się mogło - niemożliwych. Kilka kilometrów poniżej hańby wszystkich ekip rządzących spotyka się już wędkarzy.

Siedzę przy staruszk, którego znam całe życie. Do dzisiejszego dnia łowi te wiosenne płotki na taką samą leszczynową wędeczkę ze spławikiem z korka. Tak samo wyglądał czterdzieści lat temu - no, może więcej chodził. Zna ten kawałek brzegu jak własną dłoń, widział absolutnie wszystko. Nic go nie zdziwi. Jak zawsze, kiedy go spotykam - siadam obok, na leniwe parę zdań.

Siedzę, popatruję na spławik, na rzekę. Spływa kolejny kondom. Różowutki, z serii "Unimil sobie życie". Normalka poniżej kolektora.

Jednak nie normalka. Prezerwatywa porusza się spazmatycznie i płynie. Ale pod prąd. Zaciskam powieki na sekundę. Zwidy jakieś - uspokajam się, rzeczny bezruch, niesie ją wsteczka.

Jednak nie. Kondom znowu drga i płynie pod prąd. Płynie, płynie, uspokaja się i znowu płynie. Trącam swojego towarzysza. Odrywa wzrok od spławiczka, chwilę patrzy na ten cud natury i bez emocji mówi: - Nic nadzwyczajnego, rybka wlała do kondoma i już nie wylezie. Nie obkręci się przecież. To tutaj częste.

Czterdzieści minut mi zejdzie, zanim za pomocą badyłka doholuję prezerwatywę do brzegu. W środku kiełb, ale jaki, z 18 cm. Jakoś go uwalniam, nie na darmo zaprzyjaźniony Azjata nauczył mnie posługiwania się pałeczkami do ryżu.

Że nie wędkarski to śmieć? Może i nie. Ale nieoczekiwany - coś wpada do rzeki, coś pozornie niewinnego (ha, ha!) i niesie śmiertelne niebezpieczeństwo...

Inna sytuacja. I wędkarski ślad na samusieńkim środku Wisły. Mam otóż na wysokości bielańskiego klasztoru swoją ukochaną rafę, na którą latem przeprowadzam się pontonem. Jaziowo-brzanowy raj dla spinningisty. Najbliższe od domu totalne odosobnienie. Wędkarze rzadko idą za moim przykładem.

Jeśli niżówka odsłoni kamieniste połączenie, to raj tu dla ptactwa. Mewy, rybitwy, kormorany, kilka gatunków kaczek, czaple, jakieś biegusy i inne, których nie rozróżniam. Kilka wypraw na rafę i kończą się

gromadne ucieczki - przyzwyczajają się do mojej obecności. Trzymają - rzecz jasna - bezpieczny dystans, ale odlatują dopiero wówczas, kiedy zbliżę się na 15-10 m.

Powoli zbliżam się do potężnej mewy siodłatej. Kolejne kilka kroków, kolejne jaziowe stanowisko. Dziwne. Wielkie ptaki są bardziej ostrożne niż hałaśliwy śmieszkowy drobiazg. Tymczasem ptaszycło tylko kręci głową, jakoś tak dziwacznie spręża się w sobie. Świszczę wędziskiem w jego stronę. Pokrzykuję nawet. Nie odlatuje.

Odkładam spinning, podchodzę. Nic się nie zmienia. Choć przecież w mewie widać wielki wysiłek. I mięśni, i woli. Ale ptak jest związany jak baleron cienką żyłką. Szesnastka chyba. Jakoś rozcinam siatkę, aczkolwiek nie jest to wcale proste, bo ptaszycło ma piekielnie mocny zgryz. Przestaje się bronić dopiero wówczas, kiedy nożyczkami ze scyzoryka przecinam węzełki na spuchniętej, przykurczonej nodze. Mruży oczy, posykuje - nie wiem, ile tak siedzi związana, ale wyobrażam sobie ten ból, kiedy ciepła krew włącza się wreszcie do na wpół obumarłych naczyń.

Tej żyłki nie było więcej niż kilka metrów. Ileż takich kawałków zostawiłem pod koniec spinningowego dnia na łowiskach całej Polski, dalibóg nie mam pojęcia. Niewinny, niewidoczny, nic nie znaczący wędkarski śmieć. Taki mikroślad wręcz...

Kładę ptaka ostrożnie na żwirze, tuż przy wodzie. Już nie walczy. Może dotarło doń, że staram się mu pomóc. Przykucam o metr, może półtora. Mewa oddycha coraz wolniej. Póleży na boku. Odpoczęła w końcu i przestała się jej podobać nienaturalna pozycja, przysiadła wreszcie na brzuchu. Odchodzę łowić dalej. Po następnych dwóch jaziach odwracam się. Zdrowieje - pióra muska, natłuszcza. Sprawiam jedną rybę i z daleka rzucam ku ptakowi rybę wnętrzności. Pożera je bezwstydnie i bez lęku. Kiedy po godzinie idę na posiłek w kierunku pontonu, mewy już nie ma. Musiała wleźć do wody i spłynąć w dół. Na krańcu kamienistej wysepki widzę trzy mewy siodłate. Pewnie jedna z nich to "ta moja". Powinna przeżyć, jeśli tylko nie dostanie gangreny tej przykurczonej łapy.

Dwa wydarzenia miały swoje konsekwencje i w wędkarskim, i w "normalnym" życiu. To drugie uczuliło mnie na wszelkie ślady, jakie po sobie pozostawiam. Bo choć od lat wydzielam w plecaczku śmieciarską kieszonkę, to żyłkę przecież odgryzałem i zostawiałem na ziemi. Przecież nie widać.

Pierwsza natomiast sytuacja spowodowała, że zawartość popielniczki oraz cytrynę z herbaty wyrzucam zawsze do kosza na śmieci, choć do kuchni mam dalej niż do klozetu. Przez ostatnie 40 lat najbardziej złościły mnie zalegające na pograniczu wody i lądu poniżej żoliborskiego kolektora zwały petów, zapalek i plastrów cytryny. Obrzydlistwo, zabijające w wielu moich przyjaciółach chęć łowienia w tej wspaniałej rzece.